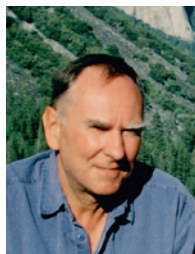


TRAGEDIA POD NANGA PARBAT



Fot. Tomasz Bender

Janusz Kurczab

Masakra w bazie pod ośmiotysięcznikiem

22 czerwca około godziny 22 czasu lokalnego, w dolinie Diamir pod zachodnią flanką Nanga Parbat, miał miejsce atak terrorystyczny pakistańskich talibów na alpinistów. Dokonała tego grupa około 15 napastników ubranych w mundury paramilitarnej organizacji Gilgit Scouts. Terrorysty zamordowali 11 przebywających w bazie osób, uprzednio zabrawszy im paszporty i pieniądze. Do ataku przyznała się grupa o nazwie Jundullah, wcześniej organizująca ataki na pakistańskich szczytów. Był to pierwszy przypadek ataku na zagranicznych turystów w graniczącym z Chinami i Kaszmirem rejonie Gilgit-Baltistan.

Ofiar byłoby więcej, na szczęście większość członków wypraw znajdowała się wówczas w obozach wysokościowych. Byli wśród nich Polacy. **Ola Dzik**, będąca kierownikiem wyprawy międzynarodowej, **Jacek Teler**, członek tej wyprawy, **Bogusław Magrel**, **Włodzimierz Kierus** i **Adam Stadnik** z wyprawy Polskiego Klubu Alpejskiego, oraz **Wojciech i Lech Flaczyńscy**. **Pawła Michalskiego**, który również zamierzał szturmować Nanga Parbat, wiadomość o tragedii zastała jeszcze w domu. Zarówno on, jak i jego włoski partner **Simone La Terra**, zrezygnowali z wyjazdu do Pakistanu.

Atak potępił prezydent Pakistanu **Asif Ali Zardari** i premier **Nawaz Sharif**. Gubernator prowincji Gilgit, **Syed Mehdi Shah** zorganizował natychmiast spotkanie z regionalnymi organami ścigania dla omówienia sytuacji w zakresie bezpieczeństwa w okolicy. – *Wielu turystów przyjeżdża do tego obszaru w lecie, a nasi mieszkańcy pracują dla nich, aby zarobić pieniądze – powiedział.*

To może mieć nie tylko wpływ na naszą okolicę, ale wpłynie negatywnie na cały Pakistan.

Natomiast **Ahmed Marwat**, rzecznik organizacji Jundullah oświadczył w telefonicznej rozmowie z agencją Reutersa:

– *Obcokrajowcy są naszymi wrogami. Z dumą bierzemy odpowiedzialność za dokonanie zamachu i zapewniamy, że do tego rodzaju incydentów dojdzie w przyszłości jeszcze wielokrotnie.*

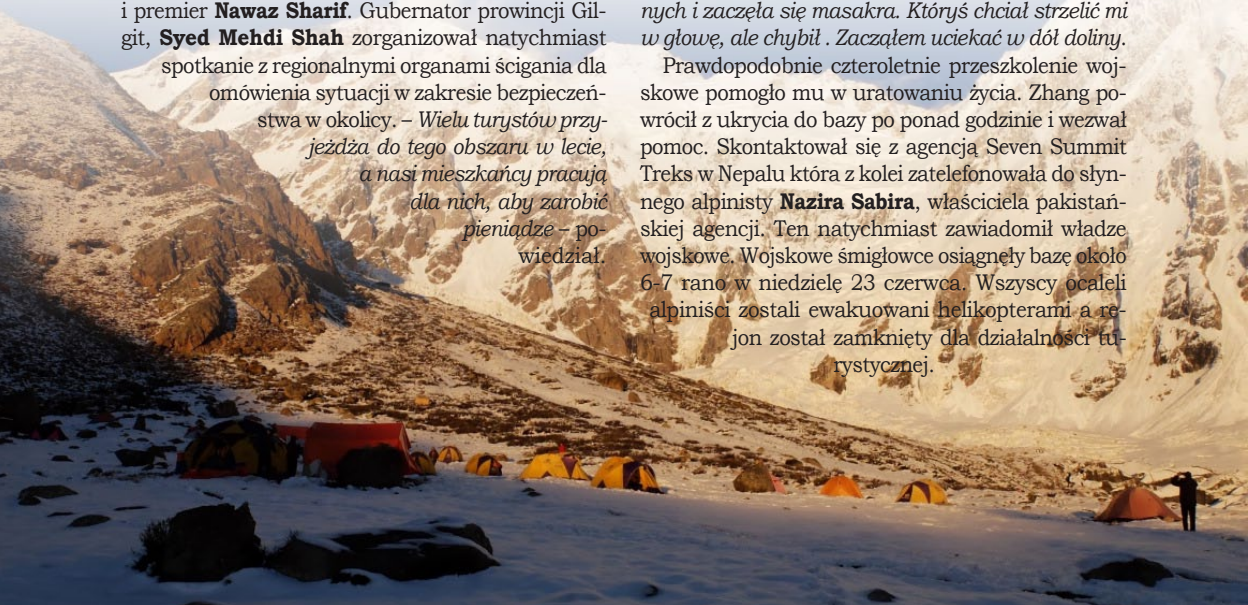
Podejrzewa się, że akcja była odwetem za ataki amerykańskich dronów na przywódców talibów. W jednym z takich ataków zginął **Wali ur-Rehman**, drugi w hierarchii przywódców talibów pakistańskich.

Pakistan Institute of Medical Sciences zidentyfikował wszystkie ofiary zamachu. Są to: **Yang Chin Han** i **Hu Jian** z Chińskiej Republiki Ludowej, **Hong Lu Chin**, Amerykanin chińskiego pochodzenia, Słowacy **Peter Šperka** i **Anton Dobes**, Ukraińcy **Igor Swiergun**, **Bodavi Koszajew** i **Dmitrij Konajew**, Litwin **Ernestas Marksaitis**, Nepalczyk **Sonam Sherpa** i Pakistańczyk **Ali Hussain**.

Chińczyk **Zhang Jing Chuan**, który cudem uratował życie, uciekając przed kulami morderców, tak opowiadał o przebiegu tragicznego zdarzenia:

Spaliśmy już, gdy nas złapali. Związali nam ręce i kazali ukleknąć na ziemi. Potem zaczęli szukać innych i zaczęła się masakra. Któryś chciał strzelić mi w głowę, ale chybił. Zacząłem uciekać w dół doliny.

Prawdopodobnie czteroletnie przeszkolenie wojskowe pomogło mu w uratowaniu życia. Zhang powrócił z ukrycia do bazy po ponad godzinie i wezwał pomoc. Skontaktował się z agencją Seven Summit Treks w Nepalu która z kolei zatelefonowała do słynnego alpinisty **Nazira Sabira**, właściciela pakistańskiej agencji. Ten natychmiast zawiadomił władze wojskowe. Wojskowe śmigłowce osiągnęły bazę około 6-7 rano w niedzielę 23 czerwca. Wszyscy ocalałe alpinści zostali ewakuowani helikopterami a rejon został zamknięty dla działalności turystycznej.



We wtorek 25 czerwca w siedzibie Alpine Club of Pakistan odbyło się spotkanie, podczas którego uczczono pamięć pomordowanych alpinistów, a prezes ACP płk. **Manzoor Hussain**, zwracając się do ewakuowanych alpinistów, przepraszał, że *naszemu rządowi nie udało się ochronić życia członkom waszych zespołów. Naciśniemy na rząd by w większym stopniu chronił pełne przygód życie turystów. Mówię to w imieniu stu tysięcy ludzi, takich jak tragarze, kucharze, pracownicy transportu i ich rodziny, które utrzymują się z przemysłu turystycznego.*

W imieniu członków wypraw przemawiała **Ola Dzik**, która powiedziała m.in.: *Czasem tracimy przyjaciół w górach, ale nie ma słów, żeby wyjaśnić, jak się czujemy tracąc ich w taki sposób, jak to się stało w sobotę. Jestem rozczarowana, że nie udało się zdobyć Nanga Parbat, ale także zdeterminowana by wrócić w przyszłym roku dla trzeciej próby wejścia na zabójczą górę.*



Bartek Dobroch **Killer Mountain, czyli Himalaje terroru**

W górach można zginąć. Nie jest to nawet zbyt trudne. Nie jest to też bardzo rzadkie. Z wiekiem, im mocniej wchodzimy w środowisko górskie, im dłużej wspinamy się, uprawiamy alpinizm, jeździmy górkami zjazdowymi na nartach, im więcej na wybieranych przez siebie drogach, ścieżkach, szlakach, graniach, trasach spotykamy ludzi, tym więcej ich potem w tych górach tracimy. Czasem w swoich zmaganiach z górą popełniają kardynalny błąd, czasem szereg drobnych błędów, które osobno nie mają wielkiego znaczenia, ale zaistniałe razem powodują śmiertelne skutki. Czasem o losie decyduje tragiczny przypadek.

Za każdym razem informacja o śmierci kogoś znajomego wywołuje szok, przynębenie, poczucie straty. Częstsza obecność śmierci w życiu nie wyzwala od tych uczuć, nie znieczula. Ale jednak osławiamy się z nią, liczymy się z możliwością nadejścia złych wieści, czy to z dalekich Himalajów, Karakorum, Andów czy też niemalże z za rogu – z Tatr. Próbujemy ją zrozumieć, wytłumaczyć, choć czasem w tych próbach dochodzimy do ściany. Bo śmierć bywa niewytłumaczalna. Jak ta, kiedy himalaista, który cudem uratowany został z patowej sytuacji po tragedii, w której zginęło wszystkich jego pięciu towarzyszy, ginie po latach przyniębiony głazem na tatrzańskiej

grani. Albo kiedy wspinaczka znane-go z okładek najpopularniejszych górskich magazynów przyniębiona oberwana strop lodowej jaskini lub gdy trzeci z kolei zdobywca Korony Himalajów i Karakorum ginie podczas wycieczki z klientem na stosunkowo nietrudny czterotysięcznik. Czy jeszcze inny paradoks – gdy legenda wspinaczki, twórca jednego z jej stylów, pogromca najsłynniejszych ścian umiera po upadku na bawarskiej via ferracie. Ale jak to? On?

W końcu w próbach wytłumaczenia takich wypadków dochodzimy do – *nomen omen* – ściany. Używamy określenia „statystyka”. Los sprowadzony do poziomu matematycznego wzoru. A na matematykę rady nie ma. Podobnie jak nie ma rady na ludzi, którzy z każdą górską śmiercią zadają te same pytania: po co szedł? dlaczego to robią? I piszą: ryzykanci, szaleńcy, samobójcy... Z początku irytują nas strasznie, odpowiadamy im, dyskutujemy z nimi na forach, ale potem także odpuszczamy. Godzimy się w końcu też z tym, że sami możemy zginąć w górach. Pasja staje się jak nieuleczalna choroba. Ale taką samą jest przecież też życie.

W naszych zmaganiach z górami używamy retoryki wojennej. Mówimy „walka”, „atak”, „wojownicy”... Ale alpinizm ze swojej natury jest pacyfistyczny. W walce



Góry wysokie

z górą nie ma agresji, nie stosuje się przemocy, nawet jeżeli w lodową skórę wbijamy ostrza raków i dziab. W taki sposób góry nie możemy zabić ani zranić. Ona, w obliczu tej wieczności, którą możemy objąć naszym umysłem, jest nieśmiertelna. Owszem rośnie, kurczy się, eroduje, ale nasz wzrost, starzenie się, przemijanie, przy tym procesie są jakby jej jeden wdech i wydech. Nasze ślady odbite na jej zboczach może przetrwać kilka dni, nasze nazwiska jako zdobywców – kilkanaście, może kilkaset lat. Nasze zwycięstwa są więc pyrrusowe, raz pokonana góra pokonuje innych, którzy podążają za nami. Nasz wysiłek wejścia na nią też jest syzyfowy, bo ciężar ambicji zdobycia jej dźwigają dalej nasi naśladowcy.

Jednak nie walczyliśmy przeciw górze, tak jak i nie bijemy się z innymi wspinaczami, którzy chcą ją zdobyć. Choć niektóre incydenty, jak ten z udziałem Szerpów, Ueli Stecki i Simone Moro zdają się temu przeczyć. Ale to właśnie jedynie incydenty. Nazywamy wprawdzie niektóre ściany czy góry „zabójcami”, „mordercami” lub „ludojadami”. Mordwand, Menschenfresser, Killer Mountain. Ale to nie one nas zabijają, a przynajmniej nie czynią tego intencjonalnie. Czasem przypadkiem zrzucają na nas kamień czy lawinę. Nieumyślne spowodowanie śmierci to najwyższy zarzut, który – odwołując się do retoryki sądowej – możemy postawić ścianie czy górze. Obwinianie gór za śmierć przypomina obarczanie winą Boga, Absolutu, Natury, w zależności od naszej wiary lub niewiary. Dlatego obwiniają częściej ci, którzy gór nie rozumieją. Góry bywają groźne, złowrogie, niebezpieczne, ale nie ma w nich zła, nienawiści, agresji. Gdyby tak było, to nie uciekalibyśmy w nie, nie szukali w nich azylu od przeszłego tymi właściwościami świata ludzkiego, upadłej kultury, chorej cywilizacji.

Ale stało się. Nienawiść, agresja, zło, macki zwyrodniałej cywilizacji dotarły tam, gdzie znajdował się bezpieczny od niej azyl – w wysokie góry. Wprawdzie Nanga Parbat nosi niechlubne miano Killer Mountain – góry zabójcy – do którego przyczyniły się liczne dramatyczne wydarzenia jeszcze sprzed II wojny światowej, które kosztowały życie wielu himalaistów, z początków głównie Niemców.

Jednak w nocy z 22 na 23 czerwca w bazie pod Nagą Górą pojawili się prawdziwi mordercy. Stanęli naprzeciw tych, którzy przyzwyczaili się walczyć tylko z górą. Walczyli pokojowymi metodami. Islamscy terroryści, przebrani w mundury pakistańskich policjantów, najpierw odebrali wspinaczom dokumenty i pieniądze, następnie wywelekli ich z namiotów, związali i rozstrzelali prawie wszystkich obecnych wówczas w bazie dziesięciu himalaistów z Ukrainy, Litwy, Słowacji, Chin i Nepalu.

W całym nieszczęściu jedynym szczęśliwym aspektem był fakt, że terroryści zaatakowali w czasie pięknej pogody, kiedy większość członków atakujących

Nangę wypraw, między innymi Polacy, przebywała w wyższych obozach. Zginęli jednak przyjaciele wielu polskich wspinaczy. Peter Šperka, znakomity słowacki ratownik współpracujący wielokrotnie z TOPR-em, himalaista z czterema ośmiotysięcznikami na koncie, przewodnik wysokogórski, który co najmniej 600 razy prowadził klientów na Gerlach. Ernestas Marksaitis był członkiem kierowanej przez Olę Dzik międzynarodowej wyprawy na Nanga Parbat.

Himalaiści rozstrzelani w górach – już w samych tych słowach jest jakiś dysonans, niezgodność. Ludzie, którzy przyjechali walczyć jedynie za pomocą swojej siły, wytrwałości, determinacji, zostali zabici przez barbarzyńców, którym te cechy nie są znane, bo mają zamiast nich szatańskie wersety na ustach i tchórzowski spust swoich AK47 w dłoni. Pod Nagą Górę zawitał niegórski świat ze swym bezwstydnym okrucieństwem, a królowie gór stanęli w jego obliczu całkiem bezbronni, tak jak góra, nadzy. Ludzie, którzy umiłowali wolność, zginęli z rąk osobników (nie przechodzi wobec nich przez gardło słowo: ludzie), którzy wolność traktują z największą pogardą.

Wspinacze bywali świadkami terronu w kraju przez ten terror ogarniętym. Choćby Adam Bielecki i Marcin Kaczkan, którzy na przełęczy Babusar Top w zeszłym roku widzieli, jak uzbrojeni mężczyźni wyciągnęli z autobusów ponad 20 szytów i niemalże na ich oczach rozstrzelali. Do ataku przyznali się wtedy członkowie tej samej grupy Tehrik-e-Taliban Pakistan, która zaatakowała pod Nangą.

Nieprawdą jest, że terror dotykał tylko miejscowych. Wędrujący indywidualnie po górach Pakistanu obcokrajowcy bywali także celami ataków. 15 lat temu w Kaszmirze podczas snu w swoim namiocie zastrzelony został Ned Gillette, amerykański podróżnik, wspinacz i narciarz. Podobny los spotkał parę czeskich turystów. Nigdy jednak jeszcze himalaiści, ani w Pakistanie, ani nigdzie indziej na świecie, nie byli przedmiotem masowego ataku terrorystycznego. Określenie Killer Mountain będzie miało odtąd w odniesieniu do Nanga Parbat inne konotacje. Zmieni się zapewne także nastawienie himalaistów do tych terenów. Być może na jakiś czas przestaną w nie jeździć. Może rząd Pakistanu, broniąc intratnego źródła dochodu, jaki stanowią w Himalajach i Karakorum turyści z Zachodu, wyprawy wspinaczkowe i trekkingowe, postawi w takich miejscach jak baza pod Nanga Parbat wojskowe posterunki. Może karawany do podnóża gór ubezpieczać będą zmilitaryzowane konwoje, a najbardziej ryzykowną częścią wyprawy na K2 będzie podróż z Islamabadu do Skardu.

Abstrahując jednak od tego, faktem jest, że coś się zmieniło definitywnie, coś pękło. Góry zostały podlane niewinną krwią ludzi gór. Straciły status miejsc wolnych od bezwzględnej przemocy, takich, w których można czuć się bezpiecznym od zwyrodnień współczesnego świata.

Wojciech Grzesiok

Jak „rosyjski alkazelcer” uratował mi życie, czyli wspomnienie o Igorze Svergunie

Jak się poznaliśmy

Ktoś buszował dookoła naszego namiotu. Kroki było słycać raz z lewej, raz z prawej... Wystawiłem głowę i zobaczyłem brodatego gościa w polarze z rosyjskimi naszywkami „7 summits”. Widząc mnie, krzyknął:

- Ola! – i zdziwił się, kiedy usłyszał słowiańskie: – Priviet.

Po chwili znalazł worek z jedzeniem, którego szukał i przywitał się:

– Igor z Charkowa.

– Ooo, przejeżdżaliśmy przez Charków w drodze do Kirgizji – palnąłem i przedstawiłem nas z siostrą Martą. Chwilę rozmawialiśmy, aż w końcu Igor powiedział:

– Wojtek, dawaj do nas w pałatkie, dam wam czekolady.

Poszedłem zobaczyć, co słycać u braci Ukraińców. Po chwili siedziałem z nimi, z kubkiem koniaku w dłoni, patrząc jak zahipnotyzowany na dwie maszyny, na których smażył się... boczek! Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie smażącego się boczku w Nido De Condores, gdzieś na zboczach Aconcagua. A to wszystko działo się w 2008 r., pod koniec dwumiesięcznej argentyńskiej eskapady, która po Buenos, Bariloche, Patagonii i włóczeniu się po okolicach Mercedario miała zakończyć się zdobyciem przez rodzeństwo Grzesioków najwyższego szczytu Ameryki. Tradycyjnie pod koniec wyjazdu zaczęły kończyć się pieniądze, więc nie mieliśmy pysznych liofilizatów ani jeszcze smaczniejszych chińskich zuppek. Było tylko argentyńskie purre, kostki rosółowe i kilkanaście główek czosnku.

Dwa dni po zejściu z Aconcagua, przez wyjściem z parku. Igor Svergun w czerwonej bluzie, siedzi Wojciech Grzesiok. Obok członkowie ukraińskiej ekipy dowodzonej przez Igora. 2008 r.

Fot. Marta Grzesiok-Jamróż



Po chwili trzymałem już w rękę boczko-burgera – bułka, ser żółty, boczek i nie pamiętam, co jeszcze... Rozpłynąłem się ze szczęścia. Ale w końcu jest się starszym bratem, prawda? Przeprosiłem więc grzecznie panów i pognałem ze zdobyczą do siostry:

– Kakuuus! Wiesz co mam!?

Kakusiowe oczy dzień wcześniej poraziło słońce, więc siedziała biedna w namiocie z chustą na oczach i tylko po zapachu mogła zgadywać, co przyniosłem. Zjadła wszystko w trzy sekundy, a ja wróciłem do chłopaków z nadzieją, że jeszcze trochę im zostało... W namiocie okazało się, że coś jeszcze jest – a wszystkie te specjalne pochodzą z worka jakichś bogatych moskwian, których Igor wprowadzał na Aconcagua wcześniej. A że wszystkiego nie zjedli,

Marta i Wojtek, czyli rodzeństwo Grzesioków ze smakołykami od Igora Sverguna, Aconcagua, 2008 r.



IGOR SVERGUN

Urodził się w 1966 r. Mistrz Sportu w Alpinizmie (1989 r.), Międzynarodowy Mistrz Sportu (1991). Absolwent charkowskiej Akademii Wychowania Fizycznego.

Wybrane przejścia: Lhotse południową ścianą do wys. 8100 m (1990), trawers Manaslu (1991), Everest, wierzchołek południowy, 8790 m (1992), odwrót z wysokości 8500 m (1999), na szczyt dwa razy (2005 i 2006), Dhaulagiri (1994 i 1997), Annapurna (1996), Shisha Pangma (w stylu alpejskim), Ama Dablam i Pumori (1998), Cho Oyu (2004), Gasherbrum do wys. 7800 m (2007).

Zdobył tytuł „Śnieżnej Pantery”. Ponadto przeszedł 25 dróg najwyższego szóstego stopnia trudności (w skali rosyjskiej). Za swoje osiągnięcia odbierał nagrody i ordery od rządu ZSRR i Ukrainy. Pozostawił żonę Tamarę i 13-letniego syna. Zamordowany w bazie pod Nangą Parbat przez grupę terrorystów związanych z Al-Kaidą w nocy z 22 na 23 czerwca 2013 r.

źródło: strona Charkowskiego Alpkłubu:
<http://alpkclub.com.ua>



Fot. Wojciech Grzesiok

Góry wysokie



Igor Svergun i Wojciech Grzesiok w siedzibie charkowskiego klubu alpejskiego, 2010 r. Fot. Magdalena Golda

schował jedzenie, wiedząc, że wróci tu w tym samym sezonie.

Zaczęły się pogaduchy. Dla chłopaków to też był już ostatni etap podróży, wcześniej byli w Patagonii, na trekkingu dookoła Fitz Roya i mieli szczęście do pogody, bo było widać całą górę. Słyszając znajomą nazwę, nie wytrzymałem – my też tam byliśmy i nawet udało się wejść na szczyt. W namiocie zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli na mnie, nie bardzo wierząc, jedynie Igor ze spokojem zapytał o to, którą marszrutą.

– *Franco-Argentina*, w 51,5 godziny.

Po chwili przyszła kontra od kolegów Igora:

– A Igor, nasz szef, był dwa razy na Everestcie.

Jakoś, przy obecnej komercji na tym ośmiotysięczniku, nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Igor, zerkając to na ekipę, to na mnie, powiedział:

– Everest jak Everest. Ale dla mnie największym wyczynem pozostanie południowa ściana Lhotse.

W jednej sekundzie odnalazłem miejsce w szeregu i polapałem się, że mam do czynienia z Radzieckim Jordanem Himalajzmu... I że od tej pory buzia w ciup i słuchamy starszych i mądrzejszych, bo znowu jest okazja, by się czegoś nauczyć. Igor bowiem był członkiem rosyjskiej wyprawy, która w 1990 roku pokonała – dla Polaków tragiczną w skutkach – południową ścianę Lhotse. Doszedł do wysokości 8100 m.

Aaaa, jeszcze wrócić do czekolady, którą dostałem od Igora – gorzka „Ritter sport” w rosyjskim wydaniu, przyjechała z nami do Polski i przywoływała wspomnienia leżąc w lodowce przez kolejne trzy lata.

Jak Igor mnie uratował

Po tak miłym początku znajomości, ciąg dalszy zapowiadał się fantastycznie – umówiliśmy się na wspólny atak szczytowy. Kolejnego dnia rano jak zwykle nie szło nam z Kakusiem tak szybko, jak powinno, i kiedy już wyszliśmy z namiotu, widzieliśmy chłopaków wysoko nad Nido, jak pewnie dreptali w stronę Berlina... Rzuciliśmy się do szaleńczego pościgu, bo przecież zdobyć Acongaguę w takim towarzystwie to zaszczyt. I pełne bezpieczeństwo. Ekipę dogoniliśmy w Berlinie. Czas dotarcia do Nido:

40 minut! Niestety, głupota, która objawiła się w tym szalonym sprincie, i brak aklimatyzacji zaczęły wygrywać z moją dobrą formą fizyczną. Do Independencji doszliśmy jeszcze razem, a potem zaczęło mi odcinać paliwo. Pod skałką, pod koniec trawersu, zaliczyłem klasyczny *knockdown* – padłem i to był dla mnie koniec marszu w górę. Ukraińska ekipa pognąła na szczyt, Marta została, żeby mnie pilnować. Raz spałem, raz bredziłem, miałem omamy. Klasyczny obrzęk mózgu z wszelkimi opcjami fakultatywnymi...

W końcu cała ukraińska ekipa zeszała ze szczytu i Igor zajął się mną. Podał tabletkę z nazwą pisaną cyrylicą, kazał Marcie zabrać plecak i zaczęliśmy schodzić. Kilkaset metrów niżej, pod koniec trawersu, zatrzymaliśmy się przy charakterystycznej skałce – skalnym pipancie, który sterczy na dole trawersu pod Canaletą. Usiedliśmy na śniegu. Zaczęłem wypytywać Igora o szczegóły dróg na ścianach Uszby, a jego wzrok wpatrzony w Kakusia mówił: „chyba nam chłopak wyzdrowiał”.

Ogromna piguła zdziałała cuda i mogliśmy schodzić dalej.

Jak z Kakusiem uratowaliśmy Igora (i ekipę)

Kilka godzin później staliśmy wraz z całą ekipą na jakiejś skałce w ciemnościach podczas zamieci śnieżnej, a Igor chciał przez krótkofalówkę przekazać strażnikowi parku, że wracamy jakieś 300 m do góry, żeby w ruinach Independencji spędzić noc. Kiedy to usłyszałem, mój zmęczony i opuchnięty nos wyśłał sygnał ostrzegawczy: „nie przeżyjesz tej nocy!”. Na szczęście na wołanie Igora nikt nie odpowiadał, a my w plecaku mieliśmy GPS-a i w kieszeni kartkę z koordynatami spisany jeszcze w Mendozie, w administracji parku. Zamarzającą ręką wbilem namiary na Berlin i krzyknąłem radośnie:

– Rebiata za mną!

Ruszyliśmy w zamieć. Zespół niepewnie podążył za nami, przecież kilka godzin temu bredziłem... Jakąś godzinę później mijaliśmy Campo Colera. Byliśmy z powrotem na szlaku.

Jak nałożyłem drogi ekipie

A więc udało mi się uratować ekipę. Byliśmy w Colerze i do Nido było już niedaleko, tylko przejść między dwiema skałkami i podreptać zakosami na dół. Wszystko było już jasne i proste, poza jedną rzeczą – lekarstwo Igora przestało działać, a ja, podbudowany ostatnim sukcesem odczuwałem przemożną ochotę do działania. Krzyknąłem więc, by wszyscy szli za mną i rozpocząłem schodzenie nie tam, gdzie trzeba. Po kilkuset metrach Igor mnie dogonił i zawrócił wszystkich na właściwą drogę.

A zatem... Wynik przeprowadzonych akcji ratunkowych – 2:1 dla niego.

Zeszliśmy z góry, a Igor zabrał nas do swojego busa i odwiózł do Mendoza, gdzie w kwaterach jego ekipy wzięliśmy prysznic i przepakowaliśmy się. Potem

odbyła się kolacja i musieliśmy z „Kakusiem” łapać busa do Buenos, żeby zdążyć na samolot do Europy. A tu kolejne zaskoczenie. Okazało się, że z Buenos do Mediolanu lecimy tym samym samolotem, co dało nam okazję do kolejnej imprezy w fantastycznym towarzystwie, w wyniku której część ekipy odbyła „podróż w stanie anestetycznym”, jak to ładnie określali.

Jak odwiedziliśmy Igora i ekipę

Jakiś czas potem odwiedziliśmy Igora i resztę ekipy w Charkowie. Przez kilka dni mieszkaliśmy i imprezowaliśmy w siedzibie ich klubu. Były wspominki, wyjścia do bani i wspólne plany. Igor zapraszał nas na wyprawę w Himalaje i chciał zabrać dzieciaki ze szkoły, w której pracował, na wakacje w Tatry.

Zapytałem Igora:

– Wtedy, na Aconcagui... Co to była za tabletki?

– Odpowiedział ze śmiechem:

– Alkazelcer...

Ta ostatnia niedziela

Tamtej feralnej niedzieli, 23 czerwca 2013 r. miałem długą trasę po Polsce, ale kiedy usłyszałem w radiu informację o masakrze pod Nangą, poczułem niepokój... Cały dzień nie miałem dostępu do internetu, ale w nocy zacząłem szukać. Na jednej z ukraińskich stron opublikowana była lista ofiar. Kiedy zobaczyłem bukwy: „**Игорь Свергун**”, zrobiło mi się słabo...

Z Igorem i resztą charkowskiej ekipą żegnaliśmy się zawsze wyjątkowo – wszyscy wyciągali palce prawej dłoni, stykali się czubkami, potem zaciskaliśmy palce, łącząc dłonie i krzycząc „Do-Swie-Da-Nia” i puszczaliśmy ręce. A tuż przed naszym odjazdem Igor krzychał jeszcze:

– Wojtek, Marta, dźrzyżycie druzia! (trzymajcie się przyjaciele).

Igor, to moje pożegnanie z Tobą, więc nie mogę zmienić naszej tradycji:

– **Игорь!** До-сви-да-ния і „держись друг”.

Wróć do Pakistanu

Z ALEKSANDRĄ DZIK o wyprawie na Nangę Parbat i ataku terrorystycznym rozmawia ANNA KREMPASZANKA

– **Wracasz cała i zdrowa. Masz poczucie, że jesteś szczęściarą?**

– To była ruletka. Równie dobrze ja mogłam zginąć. Myślę, że gdybym była w bazie, nie miałyby znaczenia, że jestem kobietą.

– **Podczas ataku byliście sporą grupą poza bazą. Gdzie zastała Was tragiczna wiadomość?**

– W obozie drugim, który akurat udało się postawić na około sześciu tysiącach metrów, przy kluczowych trudnościach drogi. Dzięki temu w dzień ataku większość wspinaczy była w tym właśnie obozie. W bazie były osoby, które właśnie przyjechały i te, które były chore albo zrezygnowały z wyjścia aklimatyzacyjnego, by chorych sprowadzić do bazy. Uczestnik naszej wyprawy, Litwin Ernest Markaistis chciał wyleczyć problemy żołądkowe i potem iść w górę. Zginął.

Gdybym to ja była chora albo pomogła sprowadzić chorego – też bym zginęła. To czyni tę zbrodnię jeszcze bardziej odrażającą. Ofiar mogło być więcej, ale też gdyby było nas dużo w bazie, być może terroryści nie odważyliby się zaatakować.

– **Od kogo dowiedzieliście się o tym, co się stało?**

– Od Karima Hayatta, członka trzyosobowej wyprawy pakistańskiej. Wstaliśmy rano, mieliśmy wieszać liny poręczowe do obozu trzeciego, aklimatyzować się przed atakiem szczytowym. Rano do Karima zadzwonił jego partner Sher Khan, który był w bazie. Przeżył, bo prosił o litość. Był innego wyznania niż

napastnicy, ale jednak darowano mu życie i to on zadzwonił, powiadomił też armię.

– **Oprócz Ernesta, o którym wspominałaś, znałaś innych, którzy zginęli?**

– Bardzo ceniałm Igora Sverguna, kierownika innej wyprawy, który razem z Antonem Dobešem sprowadził do bazy Słowaka Petera Šperke-, u którego zaczęła się choroba wysokościowa. Ze Słowakami miałam okazję porozmawiać w zasadzie tylko dwa razy, nawet nie zdążyliśmy się bliżej poznać. W bazie zginął też Pakistańczyk – sympatyczny chłopak, który codziennie podawał nam do stołu.

– **Czy coś wskazywało na to, że sytuacja w Pakistanie może być niebezpieczna dla wspinaczy? Nie byłaś tam przecież pierwszy raz.**

– Powiem tak: spodziewamy się różnych niebezpieczeństw w górach. Pierwszy raz byłam kierownikiem wyprawy, w dodatku dużej, i starałam się pod każdym względem przygotować na wszelkie zagrożenia. Do tej pory ekspedycje działające w Pakistanie, które zresztą ratowały turystykę i były zastrzykiem finansowym dla tego kraju, były bezpieczne. Dlatego tak trudno nam uwierzyć w to, co się stało.

– **Co w Pakistanie mówi się o tym zamachu?**

– W mediach do końca naszego pobytu było o tym głośno, wielu ludzi żyło tym tematem. Nawet panie, które miały mnie rewidować na lotnisku, zaprosi-



Fot. Krzysztof Starek

Góry wysokie

ły mnie na kawę i pytały o atak, znały dużo szczegółów. Pakistan to kraj, w którym co dzień słyszy się, że zginęło kilka, kilkanaście osób, czy zastrzelono polityka i przechodzi się nad tym do porządku dziennego. Ale ten zamach dotknął obcokrajowców. Był pogwałceniem najświętszej reguły gościnności – jeśli ktoś jest moim gościem, nie ma prawa mu się nic stać. W każdym razie z racji tego, że oczy świata zostały teraz skierowane na Pakistan, władze starały się jak najszybciej schwytać sprawców. Działania były dosyć sprawne, choć z tego co wiem, część tych osób zdołała uciec.

Obserwując reakcje mediów, odnieśliśmy wrażenie, że nie był to zamach, o którym wkrótce się zapomni. To wydarzenie to gwóźdź do trumny dla tamtejszej turystyki – na pewno ucierpi.

– Dlaczego Wasz powrót tyle trwał? Wróciliście dziesięć dni po tragedii.

– Ewakuowała nas armia. Rejon został zamknięty dla cywilów, nie mogliśmy zorganizować karawany, prawie trzy dni negocjowaliśmy z żołnierzami, by przetransportowali swoimi helikopterami nasz sprzęt. Przedłużało się to też przez pogodę.

– Planujesz powrót do Pakistanu?

– Pamiętamy, że zamach nie miał nic wspólnego z działalnością górską i nie należy łączyć zagrożenia terroryzmem z niebezpieczeństwami w górach. Cza-

sem ktoś ginie w zamachu, bo akurat znajdzie się w tym, a nie innym miejscu. W tym przypadku tak się stało, że to wydarzyło się w górach. W przestrzeni, która zawsze była dla nas synonimem wolności, ucieczki od cywilizacji. Jednak to nie zmieni mojego podejścia do gór.

Na pewno trochę inaczej patrzę teraz na Pakistan, wyraźniej widzę rozdarcie tego kraju. Zdecydowana większość ludzi chce żyć normalnie, w pokoju. Jednocześnie jest ten niewielki procent, który chce to wszystko zniszczyć. Ale przecież doświadczyliśmy też tam wiele serdeczności po zamachu. Można tam wracać, zakładając, że będą podjęte pewne środki bezpieczeństwa. Na pewno jednak w Dolinę Diamir nie chciałabym pojechać ponownie. Nie mogłabym spojrzeć w oczy tym ludziom, zastanawiałabym się, czy to może któryś z nich, a może brat czy szwagier zamordował naszych kolegów.

O ile tylko Ministerstwo Turystyki Pakistanu pozytywnie rozpatrzy naszą prośbę o przeniesienie na przyszły rok niewykorzystanego na Nandze Parbat pozwolenia i uda się zebrać potrzebną na wyjazd kwotę, to kolejnego lata wraz z uczestnikami tegorocznej wyprawy chcemy wybrać się do Pakistanu, na ośmiotysięcznik położony w bezpieczniejszym rejonie.

– Dziękuję za rozmowę.

INTERNATIONAL NANGA PARBAT EXPEDITION 2013

Celem wyprawy było wejście Nangę Parbat (8126 m). Ekspedycja działała od strony doliny Diamir. W skład wchodziło dwadzieścia osób z dziesięciu krajów: Azerbejdżanu, Bułgarii, Kanady, Litwy, Łotwy, Polski, Rosji, Serbii, Ukrainy oraz dwie osoby z Polski: A. Dzik (BluEmu Team) – kierownik i Jacek Teler. Podczas ataku zginął jeden z uczestników, Litwin Ernestas Marksaitis.

